

Czerwiec

Skąd miałam wiedzieć, co wiedzieli prawdopodobnie wszyscy pozostali biesiadnicy, że pan młody i nie tylko on, wykorzystał obecność na weselu jedynej panny i jedynego kawalera i że ten jedyny kawaler potrzebował mocnego kielicha, aby otrzeźwieć i zobaczyć mnie. Czyli miałam rację co do jego stanu w momencie przybycia na wesele. Dlaczego jednak wprawiał się w taki stan ten inteligentny, ciekawy człowiek?

Przyjęcie zbliżało się do końca. Zgodziłam się by mój sąsiad odprowadził mnie. Obserwowałam zmiany zachodzące w nim i we mnie niejako z boku. Z zaskoczeniem usłyszałam jego oświadczenia przy pożegnaniu. Zachowałam się, jakbym je przyjęła, aczkolwiek z rezerwą. Powtórzył je przy najbliższym spotkaniu, już następnego dnia.

Od tego dziwnego wieczoru minęły już dwa miesiące, a ja jeszcze nie wiem, na jakim świecie żyję. Spotykamy się, kłócimy, znów godzimy. Nie ulega wątpliwości, że tym razem to już „wpadłem”. Ale nie poddaję się, bronię przed samym sobą swojej wolności. Szczególnie jestem dzielny z dala od Niej. Bronię się w sposób typowo pijacki – klin klinem, ale to nie pomaga, zarówno w pijaństwie, jak i w miłości.

Poznałem teren. Z Gałązką objeżdżiliśmy wszystkie nasze garnizony, grupy i grupki. Z okazji akcji poboru rekruta. Gdzie nas nie zaniósł! Zakamarki, o których nie miałem pojęcia, że istnieją. Pielgrzymka ciekawa, pociągająca swoją niecodziennością i egzotyką, choć niezbyt bezpieczna. Jechaliśmy uzbrojeni po zęby. Bez przygód nie obyło się, ale wszystko zakończyło się dobrze. Gałązka okazała się kumplem dobrym do wypitki i do wybitki. Zarówno do jednego, jak i drugiego okazji nie brak. W powiatach znaleźli się moi koledzy ze szkoły, którzy czując się gospodarzami na swoim terenie przyjmowali nas ze staropolską gościnnością.

Rozumiem, że spełniam tu ważną misję i nie żałuję, że poświęciłem jej karierę jakiegoś inżyniera czy innego specjalisty w cywilnym garniturze. Przeżywane trudy i niewygody, niedojadanie, niedosypianie, mróz i deszcz bez przeszkód atakujący nas w odkrytym Willysie – to drobiazg w porównaniu z satysfakcją, jaką daje przekonanie o ważności spełnianych zadań. Z Pszenickim współpraca ułożyła się. On nie jest złym człowiekiem. Ma swoje nawyki, jest despotyczny, ale myślący i czujący. Posiada wiele doświadczenia i mądrości życiowej. Umie docenić rzetelną pracę innych i odróżnić prawdziwy wysiłek podwładnych od pozy i objawiania się. Z oficerami też dobrze ułożyłem swoje stosunki. Jeśli chodzi o życie się z terenem – nie jestem już gorszym od nich, a wiedzą gorzej.

Odbyłem podróż, z której wrażenia zachowam na zawsze. Wspólnie z chor. Trznadłem pojechałem do grup wysuniętych najdalej na południowy wschód, na tereny, na których buszowały niegdyś bandy UPA. Dotąd zapuściłem się w te strony tylko do powiatowego H. Teraz wyruszyłem jeszcze dalej. Z H. autobusem jakiejś spółdzielni dojechaliśmy do Dołhobyczowa. Po drodze oglądałem puste pola i ślady, gdzie dawniej musiały być wsie i osiedla. Teraz ich nie widać, ale ludzi spotyka się, więc gdzieś żyją i mieszkają. Mój towarzysz objaśnił, że w norach i ziemiankach. Dołhobyczów, kiedyś wielka i zasobna wieś, teraz – pusty, z czerwonej cegły kościół mający swoją legendę i kilka nędznych chałup. W jednej z nich sklepik, gdzie można dostać wódkę i papierosy. Tu koniec trasy. Dalej Dzikie Pola. Ruszamy pieszo. Jest cudne czerwcowe popołudnie. Słońce schyla się ku zachodowi, ale grzeje solidnie. Idziemy resztką klinkierowej szosy robiącej wrażenie wąwozu. Jego zbocza stanowią roślinność. Barwna, odurzająca różnorodnością woni, bujna, przemożna. To co z okien autobusu wydawało się pstrym kobiercem, teraz jest dżunglą. Trawy, zdziczałe zboża i najrozmaitsze zielsko. Ziemia musi rodzić, a ta ziemia jest najżyźniejsza w całym naszym kraju. Rodzi więc co może, bo ludzie jej nie obsiali. Ludzie użyźnili ją – składając w ofierze siebie. Na ich umęczonych ciałach wyrastają olbrzymie łopuchy, osty, pokrzywy. Jest tak niewypowiedzianie pięknie i ... strasznie. Ciszę potęguje monotony szum milionów pszczoł uwijających się nad tą płataniną zielska. W górze brzęczą skowronki. W uszach dzwoni, bo ucho ludzkie odwykło od głosów dzikiej natury. Naturalnych dla naszego ucha dźwięków nie ma. Ściągamy automaty, machinalnie obmacujemy kieszenie wyładowane, jak zwykle, granatami. Można marzyć, że się jest w innych czasach, ale nie można oczekiwać, że na nasze spotkanie wyjdzie Mały Rycerz czy rubaszny Zagłoba. Spotykamy dzikie koty, króliki. Smygają z jednej ściany zielonego buszu w drugą i tylko szelest zielska zdradza kręte ścieżki ich nowego życia. I tylko czasami wietrzyk zaszeleści i mocniej słychać chór pracowniwej armii pszczoł, bo słońce już zachodzi. Przyspieszamy kroku. Trznad, który nigdy w życiu nie czytał Sienkiewicza i któremu wzruszenia tego typu, jak konfrontacja dzikiej natury i konfrontacja rzeczywistości z fikcją literacką wydają się obce – uległ jednak czarowi Dzikich Pól. Też przeżywa tę nadzwyczajną podróż, ten niecodzienny krajobraz, to spotkanie ze zdziczałą przyrodą – wynikiem zdziczenia ludzi.

Kępa drzew. Rozrosłe, olbrzymie w tym morzu prawie płaskich pól. Chorob-

rów. To pusta nazwa oznaczająca, że dawno temu była w tym miejscu piękna wieś, tonąca w sadach i drzewach. W dwu ocalałych chałupkach rozlokowała się nasza placówka. Domy obszerne, zdradzają zamożność ich dawnych mieszkańców. Na miejscu setki innych zagród roślinie dwumetrowej wysokości zielsko. Zdżiczałe zarośla malin, porzeczek, ogrodowych kwiatów stwarzają gęszcz nie do przebycia. Strach zapuszczać się po nocy w tę niesamowitą dżunglę wyrosłą na miejscu żyznych ogrodów i sadów. Jestem w stancji z czasów Wołodyjowskiego. Nasi żołnierze swoją tu obecnością przygotowują grunt do przywrócenia życia tym pięknym ziemiom, zhańbionym bratobójczą walką, cofniętym w swym rozwoju o wieki całe. Za nimi przyjdą traktory, zaorzą, zasieją. Ta ziemia wyda plony, ale pod warunkiem, że znikną z niej zdżiczali bandyci, zdżiczałe koty i króliki. Na kolację zjadam królika upieczonego w żarze ogniska. W zaroślach wydzierają się słowiki. Dziką stancją żyje dzikim życiem. Żołnierzom to nie przeszkadza, a ja nie mogę usnąć do rana. Przeszkadzają mi te niecodzienne odgłosy. Potem przeszkadza mi Bohun czający się gdzieś w pobliżu, a może to Azja Tuhajbajowicz? Obudziłem się, pomimo to, rzeźki i wypoczęty jak nigdy, ale wrażenie, że cofnąłem się w czasy Chmielnickiego nie minęło.

Dalsza wędrówka, dalsze wgłębienie się w historię i literaturę. Krystynopol – Kraszewski; Bełz i Waręż – Sienkiewicz. Krystynopol – kupa pustych gruzów i bujne zielsko. W Warężu ocalały mury kościoła i jakiegoś klasztoru. Są nawet tablice informujące o czymś, co trudno odczytać, bo kule i rdza zatarły napisy. Zdołałem odcyfrować imię, Johannes Sobieski. Tak, to te same tereny. W Uhnowie i Bełzie trochę ludzi, miasteczka budzą się powoli do życia. Buduje się linię kolejową, bez której trudno ożywić tę pustynię. Wróciłem do X, ale Dzikie Pola przesładują mnie w dzień i w nocy. Budzę się przerażony tym, co przeżywam we śnie. A jak reagują ludzie, którym udało się wyrwać z tego piekła? Był na froncie w mojej jednostce pewien kapral. On stracił całą rodzinę i bliskich. Na słowo Ukrainiec ogarniał go szal, a kiedy wziął jeńca z dywizji SS-Galizien zmasakrował go w nieludzki sposób. Miał pójść pod sąd. Obroniła go powszechnie panująca opinia, że jest nie-normalny. Rzeczywiście, ten olbrzymi chłop był jakiś nie z tego świata. Teraz go rozumiem.

cdn.

